

# ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



## ZE SKARBÓW NASZEJ PRZYRODY.

Franciszek Chłapowski.

### Osobliwości przyrody poznańskiej.

2)

Przechodzimy teraz do drzewa, które u nas najpotężniejsze przybiera rozmiary i może być uważane za króla drzew naszych. Po sośnie — dąb jest najwięcej rozpowszechnionem drzewem krajowem, to też dziwić się nie można, że tyle wsi i osad od niego wywodzi swą nazwę; w polskich np. powiatach: Dembina, Dembno, Dombrowka i t. d. — w niemieckich okręgach: Eichberg, Eichenhorst, Eichfelde i t. d.

Największe dęby znajdują się w powiecie szremskim. Dwa z nich na szczególną zasługują uwagę. Jeden z nich rośnie w parku rogalińskim niedaleko Warty, tam mianowicie, gdzie rozległa dolina tak piękny rozciąga widok.

Pień jego ma  $8\frac{1}{2}$  metra obwodu i jest doskonale zachowany. Nie można tego powiedzieć o sąsiednim drzewie, widocznym na tym samym rysunku, po lewej stronie. Pień jego jest kompletnie spróchniały, we wnętrzu wymurowany, u szczytu dachówką pokryty i tylko dzięki staraniom właściciela parku zachowuje się jeszcze przy życiu. Ubiegłej wiosny kilka gałęzi nie zupełnie uschłych pokryło się jeszcze zielenią. Ale nie wiele zapewne wiosen będzie jeszcze oglądał ten senior naszych dębów! Po kilkuset latach życia, w ciągu

których tyle zmiennych dziejów upłynęło, dni jego są policzone.

Często się mówi o tysiącletnich dębach. Jest to zupełnie błędne, i wogóle wiek drzew określa się często z przesadą.

Pokaźnego rywala dęby rogalińskie posiadają w drzewie, znajdującem się w parku nieszwawskim w pow. obornickim.

W Księstwie Poznańskim występują dwa gatunki dębu, które Linneusz pod jedną nazwą połączył: *Quercus robur*. Różnica dotyczy głównie liścia. Jeden gatunek ogonek ma długi:



NAJWIĘKSZY DĄB W KS. POZNAŃSKIM W ROGALINIE, POW. SZREMSKI.





NAJWIĘKSZY BRZOST W POZNAŃSKIM — W SZAMOTULACH.



BRZOST W SCHREIBERSDORFIE W POW. WĄGROWIECKIM, OGŁOSZONY ZA NIETYKALNY OD R. 1906.

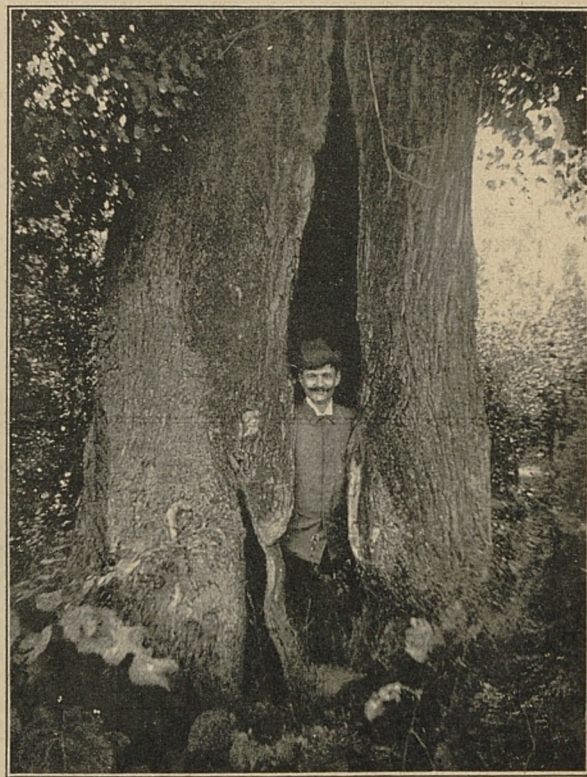
blaszka jego stopniowo przechodzi w ogonek. Jest to gatunek rzadszy u nas. Bardziej rozpowszechniony jest dąb o liściach sercowatych, osadzonych na ogonku krótkim. Wymie-

nione olbrzymy należą do tego drugiego gatunku.

I inne gatunki drzew dochodzą w tej dzielnicy do dużych rozmiarów. Wymienić tu



STARY BUK CZERWONY. REWIR KOLNEŃSKI (KOLNO). NADLEŚNICTWO MIĘDZYCHODZKIE. OBWOD PNIA 6 M, NIETYKALNY OD R. 1905.



NAJWIĘKSZA LIPA W POZNAŃSKIM. WYSZYNY, POW. CHODZIESKI.



należy brzość w Szamotułach, rosnący obok kościoła katolickiego.

Obwód pnia ma przeszło 8 metrów, a wysokość dochodzi do 30 m. Nie daleko od niego stoi inny brzość przeszło 5 m. gruby.

Również i brzość w Schreibersdorfie, w pow. wągrowieckim ma poważną grubość ( $7\frac{1}{2}$  m.) i potwornie rozrośniętą postać. Burze i zawieruchy kilkakrotnie uszkodziły to drzewo. Podparto je jednak i o ile było to możliwe, doprowadzono do dobrego stanu.

Co do buka czerwonego, który różni się od białego liściem, mającym ząbkowaną obwódkę, staje się on w lasach naszych coraz rzadszy; spotyka się go jednak gdzieś i to w egzemplarzach bardzo okazałych.

Okazała jest również lipa, rosnąca w Wyszynach, powiecie chodzieskim, której pień ma około  $7\frac{1}{2}$  metra obwodu. Wewnątrz jest spróchniała, w jej wnętrzu może się pomieścić 20 ludzi<sup>1)</sup>. Jest to największa lipa w Poznanskiem. Wprawdzie jeszcze większa jest od niej lipa rosnąca obok kościoła w Jabłonie, w powiecie babimojskim, która mierzy 10 m. obwodu i może liczyć z jakie 200 lat wieku, ale przy bliższem obejrzeniu drzewa spostrzega się, że pień składa się z dwóch drzew ze sobą zrosniętych.

Do osobliwości zaliczyć również należy piękną aleję lipową, prowadzącą z Margoniny do wsi Margonińskiej, w powiecie chodzieskim.



ALEJA LIPOWA PROWADZĄCA Z MARGONINY DO MARGONIŃSKIEJ WSI. NIETYKALNA OD 1912 R.

nina do wsi Margonińskiej, w powiecie chodzieskim.

Lipy te mają 4 m. obwodu; gdzieś obwód ich dochodzi nawet do 6 metrów, jeżeli się wliczy grube narosty, znajdujące się na niektórych z nich. Są dane, pozwalające dokładnie obrać wiek tych drzew. Posadzono je w roku 1765, obecnie więc liczyłyby 149 lat. Ówczesny właściciel tego majątku hr. Skórzewski uzbroił był pułk ułanów, zwany pułkiem Jadwigi, i kazał wojsku strzedz nowozasadzone drzewka przed wandalizmem okolicznej ludności. Ale i inne aleje, lubo do nich niema przywiązanego żadnego historycznego wspomnienia, są godne uwagi. Malowniczy wygląd mają aleje brzożowe; jasno-zielony kolor ich lekkich liści mile odbija od białego pnia; ale na nieszczęście w wielu podobnych alejach, gdy burza złamie brzożę, na pustem miejscu sadzą sosnę, wierzbę i wogóle innego gatunku drzewa, co szpeci widok. Obecnie jednak dzięki czujności odpowiedniej władzy podobne szpecenia stają się coraz rzadsze.

C. D. N.



Franciszek Gawełek.

## PODHORCE.

2)

Po tym krótkim opisie zewnętrznego wyglądu zamku musimy się jeszcze przyrzeć jego historii, poczem dopiero wejdziemy do środka, aby podziwiać wspaniałe zbiory, aby chwilę podumać nad pomnikiem sławy...

Nazwa Podhorce pochodzi prawdopodobnie od położenia miejscowości pod górą i znaczy to samo co „Podgórze”. Ulryh Werdum, podróżując w roku 1671 i 1672 po Polsce, powiada: „piękny pałac Jana Koniecpolskiego, na-



zwany Podhara, coby Polacy wymawiali „Podguri“, znaczy co niemieckie „unterm Berge“<sup>1)</sup>.

Początki Podhorzec giną w mroku dziejowym. Po zniszczeniu Pleśniska przez Tatarów 1241 r. nie słyhać długo o jakiegokolwiek osadzie na tem miejscu. Jednakże już w 1400 roku istniała tu osada pod nazwą Podhorzec, co potwierdza „Summaryusz Dokumentów do Dóbr Podhorzec y ynnych Anno Domini 1765 spisany“, zawierający między innymi treść przywilejów z r. 1440 w następujących słowach: „Przez Nayaśniejszego Władysława Króla Polskiego za zdaniem Stanów Rzeczy Pospolitey Polskiej y Zgodą Wielkich Panów, Urodzonemu Januszowi Podhoreckiemu Dóbr Podhorzec y Zahorzec, których przedtym był Dziedzicem, a yakowymsi przypadkiem od tychże odpadł, z opisaniem, od których mieysc poczynać y kończyć się w Gruntach w Lasach miały, przywrócenia wiecznemi czasy zażywania dany — Przywilej“<sup>2)</sup>. W tymże summaryuszu spotykamy się z datami 1530, 1540, gdy Podhorce należały do rodziny Podhoreckich. Od roku 1540 aż do objęcia Podhorzec przez Koniecpolskich, niema już nigdzie wzmianki ani o Podhorcach, ani o ich pierwszych dziedzicach. Nie wiemy również, jakim sposobem przeszły do rodziny Koniecpolskich. Faktem jest, że w latach 1635—1640 Stanisław Koniecpolski wybudował zamek w Podhorcach „dla uciech i smacznego po wojskowych trudach i Rzeczypospolitej zabawach odpoczynku“. Architekta nie znamy, jest atoli wielkie prawdopodobieństwo, iż budował Beauplan, nadworny inżynier hetmana. Zamek stanął bardzo okazały, wśród pięknego ogrodu, urządzony z przepychem królewskim, „sławny na całą Polskę“. Nic więc dziwnego, że Jakób Sobieski, wojewoda bełzki, sąsiad hetmana, w roku 1640 napisał „Pieśń o Podhorcach“, w której wychwala przepych i wspaniałość urządzenia zamku. „Nu! do piszczałek Faunowie leśni, Gospodarza swego zabawiajcie“ — woła poeta. Po śmierci hetmana (1646) objął zamek syn Aleksander, troszcząc się gorliwie o tę miłą spuściznę. Niedługo atoli cieszył się jego posiadaniem, umarł bowiem nagle 1659, a syn jego Stanisław, wojewoda podolski, był ostatnim dziedzicem Podhorzec. W roku 1682 jako podeszły już starzec darował je królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu, w którego imieniu odebrał je ojciec Jan Sobieski. Królewicz Jakób objął je wkrótce na siebie, a 1687 roku przyjmował tam rodziców z całym dworem królewskim.

<sup>1)</sup> Liske. Cudzoziemcy w Polsce. Lwów 1876, s. 168.

<sup>2)</sup> Opieram się na cytacie u Władysława Kryczyńskiego: Zamek w Podhorcach. Złoczów 1894, 8<sup>o</sup>, s. 90.

Za czasów Sobieskiego Podhorce doszły do najświetniejszego okresu swej chwały i przepychu, o czem świadczy Dalerac. „Zamek podhorecki — pisał D. — jest niewątpliwie najpiękniejszym domem w Polsce i chociaż nie jest wielki, uchodziłby za bardzo piękny i w każdym innym kraju... Główny gmach mieszkalny ma dwa małe pawilony i małą smukłą wieżyczkę w środku, z dwiema kopułami, co razem tworzy wspaniałą całość. Zbudowany jest z cegieł, a ozdoby ma z kamienia. Wszystko jest mierzonych rozmiarów i małej wysokości... Położony jest na krawędzi wysokiej góry, a cztery bastiony ceglane i kurtyna z fosą i kontrskarżą kamienną opasują całe zabudowanie, które jest raczej miniaturką fortecy niż istotną fortecą. Podwórzec jest bardzo mały, ale bardzo upiękuszony galeryami z balustradami, brukiem kamiennym, wspaniałymi portykami na kolumnach i schodami na peronach, pokrytych kopułami. Pokoje są i rozkładne i bardzo ozdobne. Wszystko tam jest wspaniałe: posadzki, kominki, odrzwia marmurowe, stropy malowane i złoczone. Rozkład przedstawia podwójną amfiladę na sposób włoski, zakończoną obszernym salonem, który równa się dwom przyległym apartamentom i z którego prowadzi dwoje drzwi na balkon, wychodzący na bastiony i kurytarze i tworzący kamieniami wyłożony taras. Kaplica znajduje się w środku apartamentów i, tworząc wyniosłą kopułę, jest prawdziwym klejnotem tak ze względu na architekturę i szlachetne rozmiary, jak ze względu na zdobiące ją malowidła, marmury i złocenia“<sup>1)</sup>.

Wspaniały był widok z zamku na rozległą równinę, poczynającą się u stóp góry, i na pięć czy sześć tarasów, opatrzonych balustradami, wznoszących się jeden nad drugim. Ogrody ozdobione były grotami, pawilonami, wzniesionymi na podmurowaniach z cegły, kamiennymi parapetami, z balustradami i ze schodami, rozchodzącymi się na dwie strony, a służącymi do przechodzenia z jednego tarasu na drugi.

Tuż przy pałacu na pierwszym tarasie wznosiła się „fontanna okrągła na piedestale kamiennym“, na drugim łaźnia „dziwnie wygodna“, dalej „kwatery z różnych ziół“ i t. d.

Lecz jak wszystko, tak i świetne czasy Podhorzec skończyć się musiały. Syn Jana, Konstanty, przebywał tu rzadko, skutkiem czego zamek począł coraz bardziej podupadać, aż w końcu sprzedano go Rzewuskim 1720 roku.

Pierwszym dziedzicem Podhorzec z rodu Rzewuskich był Stanisław Mateusz na Rzewuskach Rzewuski, syn Michała Floryana, regimentarza wojsk koronnych. Ten zajął się bar-

<sup>1)</sup> Zob. Kryczyński, op. cit. 16.



dzo gorliwie restauracją zamku, lecz niedługo było mu dane cieszyć się nowym majątkiem, bo w roku 1728 zazdrosne Parki przecięły nić jego żywota.

Wacław Rzewuski, syn Stanisława, zabrał się gorliwie do rozpoczętej przez ojca pracy. Mąż ten, upodobawszy sobie zamek podhorecki, osiadł w nim na stałe, prowadząc energicznie dalszą restaurację pierwszego piętra i zakładając później drugie piętro. Jemu to zawdzięczają Podhorce nagromadzenie tylu cennych dzieł sztuki, jemu zawdzięcza kościół swój początek (o czym już wyżej była mowa). On urządził zbrojownię, zbierając pamiątki po Sobieskich, on założył bibliotekę. Dzielny gospodarz, dobry patriota, służył ojczyźnie szablą i piórem. Ożeniony z Anną ks. Lubomirską Wacław Rzewuski podniósł Podhorce do dawnej świetności.

Odżyły dawne czasy, wróciła wesołość i zamożność, zamek przemienił się w twierdzę. Bramy zamkowej pilnowała warta, we wsi rozmieszczone były żołnierskie kwatery. Działa spiżowe i żelazne pod bramą i na tarasie od północy służyły na postrach nieprzyjacielowi, a gdy zbliżali się goście, witały ich donośnym hukiem.

Nadszedł rok 1767 a z nim i koniec świetnych czasów. Wacław udał się na ów pamiętny sejm do Warszawy, z którego nie miał już powrócić... Wraz z synem Sewerynem, Kajetanem Soltykiem, biskupem krakowskim, i Józefem Żaluskim, biskupem kijowskim, wywieziony został do Kaługi.

Podczas nieobecności Wacława Rzewuskiego najechały na Podhorce wojska rosyjskie, sprawiając wiele spustoszenia...

C. D. N.



Stanisław Lencewicz.

## Wyżyna Kielecko - Sandomierska.

Gdy, przejeżdżając przez Kielce, rozglądamy się z okien wagonu, widzimy szeregi pasm, porozdzielanych dolinami, poważnie szumiące na nich bory jodłowe, potężne świerki, a w dnie posępne — chmury, włóczące się po wierchołkach borów; gdzieindziej znów nagie wapienne grzbiety, u stóp których rozłożyły się wsie, łąki i pola.

To są góry Świętokrzyskie. Dla oka turysty-profana nie wytrzymują one porównania z tą krasą, jaka jest nieodłączna od gór w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Ale oprócz swoistego uroku, jaki wywierają te nasze góry na oko wrażliwe na podniety estetyczne, mają one jeszcze inny, szczególny urok, którym darzą tylko wybrańców, tylko tych, którzy góry ukochali, którzy z nimi bliższą znajomość zawarli. Jak przyjaciel zdolny jest wyczuć ze zmarszczek na obliczu swego druha jego troski, indywidualność lub przeszłość, tak przyrodnik z oblicza gór czyta ich przeszłość fantastyczną, i ta przeszłość — to urok dostępny tylko dla wybranych.

Bo oto tu, gdzie widzimy uprawne pola, drogi, siedliska ludzkie, gdzie wabią nas szu-

mem jodły-olbrzymy, tu dawniej pływały potwory morskie, wznosiły się wysokie szczyty, sunęły lody skandynawskie, rosły gaje drzewiastych paproci i skrzypów. Czas to wszystko niszczył, zmieniał, zrównywał, ale czas może też sprawić, że dzisiejsze wzgórza staną się dnem oceanu albo śnieżnym szczytem.

W dzisiejszym świecie ludzie przypinają sobie skrzydła fantazyi i zwracają się do sztuki, ażeby tam wytchnąć, gdy tymczasem w naszych górach mamy do czynienia z prawdą dziejową, brzmącą jak bajka z tysiąca i jednej nocy, a nikt z pośród ludzi władających piórem czy pędzlem nie próbował jeszcze bajki takiej zakląć w formy trwałe, miłośnikom sztuki dostępne.

Wyżyna Kielecko-Sandomierska oddawna interesowała przyrodników nie tylko polskich, ale i cudzoziemskich; zwłaszcza liczny zastęp geologów zastanawiał się nad jej przeszłością. Już Staszic pisał „O pasmie Łysogór”, potem Pusch zauważył analogię pomiędzy górami Świętokrzyskimi i Reńskimi; później nad wyświetleniem historii i budowy geologicznej pracowali Bloede, Zeuschner, Roemer, Trejdosiewicz, Michal-



ski, Siemiradzki, Gürich, Kontkiewicz, Lewiński, Sobolew, że pominę wielu innych. Charakterystyczne jest, że najwięcej do poznania tych gór przyczynili się cudzoziemcy.

Z pośród botaników florą Wyżyny Kielecko-Sandomierskiej zajmował się Jastrzębowski, Raciborski, Łapczyński, Drymmer, Wóycicki, a z cudzoziemców: Szenberg i Ganieszyn.

Nad zbieraniem materiałów etnograficznych pracował Kolberg i Siarczyński, nad ogólną fizyografią Armiński, jako kierownik ekspedycji w początku ubiegłego wieku.

Zebrałe materiały do historii terenu i dane statystyczne do poznania stosunków społecznych znajdują się w dostępnych czy niedostępnych archiwach lub gabinetach; pozostałe działy przyrodnicze nie zostały dotychczas należycie opracowane.

Opisywany teren uchodzi nawet w szerszych warstwach inteligencji za ciekawy, ale niestety jest on mało znany nie tylko z podróży, ale i z opisów, dotychczas bowiem nie było w literaturze ani popularnego, ani naukowego opisu Wyżyny<sup>1)</sup>. Brakom tym ma na celu zaradzić niniejszy popularno-naukowy zarys geograficzny.

Ścisły opis monograficzny Wyżyny Kielecko-Sandomierskiej, podobnie jak któregośkolwiek innego kawałka naszej ziemi, jest i przez dziesiątki lat będzie niemożliwością. To też, zamierzając pisać ten zarys, zdawałem sobie sprawę z tego, że nie będzie on pozbawiony braków, pochodzących z braku materiałów naukowych w literaturze. Przedewszystkiem różne działy mego zarysu opracowane są nierównomiernie, ale też nasza znajomość przyrody terenu nie jest równomierna. Dla poznania geografii Wyżyny zrobiono już bardzo wiele, a mimo tego najwięcej tam niejasności, do czego przyczynia się niezmierna zawilgość budowy geologicznej. Fauna terenu jest zupełnie nieznaną, flora znana niedostatecznie, nie zajmowano się też dotychczas morfologią, hydrografią, antropologią, meteorologią. Ażeby nie zostawić olbrzymich rażących luk, wypadło mi samemu coś nie zrobić dla tych działów. To też antropologię daję na podstawie własnych badań, a hydrografię i meteorologię też musiałem po raz pierwszy opracować. Poza tem dla innych działów korzystałem ze spostrzeżeń i notatek, czynionych w czasie wycieczek w tamte okolice, jak również korzystałem z wiadomości zaczerpniętych ze źródeł niedrukowanych.

<sup>1)</sup> „Przewodnik po Górach Świętokrzyskich” Dybczyńskiego załatwia się z opisem geograficznym na 26 małych stronicach.

Drugą trudność przedstawiało zdobycie ścisłych danych o wysokości różnych punktów, co jednak udało mi się przezwyciężyć.

Trzecią—nomenklatura rzek i pasm. Rzeki, jak i pasma, noszą niekiedy różne nazwy w różnych swych częściach; nazwy te czasami są w literaturze rozciągane na zbyt wielkie części, co powoduje zamieszanie. Zwłaszcza łatwo o to przy nomenklaturze pasm, gdzie nomenklatura orograficzna nie zgadza się z genetyczną, a niezwracanie uwagi na podstawę mianownictwa wytwarza nieporozumienia.

Zebrany materiał podzieliłem na dwie części; w jednej z nich rozpatruję warunki geograficzne (położenie, orografia, skały, skamieniałości, minerały, dzieje geologiczne, tektonika, stosunki meteorologiczne i hydrografia), w drugiej—życie (fauna, flora, archeologia, antropologia, etnografia, wytwórczość materialna, przeszłość, teraźniejszość, przyszłość). Wreszcie w zakończeniu szkicuję jednostkę geograficzną. Takie ugrupowanie materiału wydaje mi się słuszne z punktu widzenia syntezy geograficznej i współzależności życia i jego przejawów z warunkami przyrodniczymi.

Zarys niniejszy napisałem jeszcze przed dwoma laty; od tego czasu przybyło trochę wiadomości w literaturze i surowych materiałach; w ciągu tego czasu sam pracowałem nad tymi działami, których przed dwoma laty nie było; dziś decyduję się puścić w świat to niekompletne opracowanie. Mógłbym je trzymać jeszcze dwa lata lub lat 10, i zawszeby się znalazło coś nowego do dopełnienia; to też wypuszczam to, co już jest, a w przyszłości, gdy mi okoliczności pozwolą, może uda mi się napisać nie zarys, lecz geografję terenu, co znów zależeć będzie od tego, czy znajdą się pracownicy dla wypełnienia luk w tych różnych działach.

Sądzę, że niniejszy zarys ułatwi im zadanie. Zebranie i zestawienie tego, co wiemy o Wyżynie Kielecko-Sandomierskiej, może być pożyteczne nie tylko dla szerokich kół, ale i dla przyrodników, którzy znajdą tu przegląd dotychczasowych wiadomości, a zarazem przez to—program pracy na przyszłość.

Przy czytaniu niniejszego zarysu należy mieć przed sobą mapę. Wobec braku dobrych map wystarczy zaopatrzyć się w mapę sztabową rosyjską w skali 1:420000 lub austriacką 1:200.000. Właściwie należałoby do tej pracy dołączyć mapę topograficzną, ale nie czynię tego z dwu względów, od siebie niezależnych; wolę zaś odesłać czytelnika do map już istniejących, niż przerysowywać je w małej skali.

C. D. N.

oooooooooooo



Adam Chętnik.

## Z ZIELONEJ PUSZCZY.



PISSA POD WSIĄ SERWETKAMI, POW. KOLNEŃSKI.

fol. Ad Chętnik.

Zielona puszcza, a raczej szczątki jej, znajduje się w pasie pogranicznym między Prusami a Narwią dookoła miast i osad Kolna, Nowogrodu, Ostrołęki, Chorzela i Myszyńca. Z miejscowości tych Chorzela znajdują się w ziemi płockiej, inne zaś — w łomżyńskiej.

Przed paruset laty do puszczy można było się dostać tylko wodami Narwi i jej dopływów, między którymi ważniejsze są Pissa (Pisna, Piśna), Skwa (Śkwa, Śćkwa) i Rozoga. Obecnie jednak na dzikich dawniej i niedostępnych wybrzeżach stoją wsie i miasta, zielenią się kwieciste łąki lub bielą się piaski lotne, wyrządzające znaczne szkody mieszkańcom-rolnikom. Piaski te zasypują całe obszary łąk (pod Nowogrodem i Parzychami), a nawet wioski. Leżąca na lewym brzegu Narwi wieś Czartorya tak jest opanowana przez piaski, że mieszkańcy prawie zawsze chodzą i jeżdżą do swych zagrodów smugami poza wsią, pozostawiając piaszczysty po kolana gościniec dla spacerującego na niem dobytku i dzieci. We wsi tej jest jedna chałupa, którą tak piaskiem zaniósł, że tylko dach zdala widać, drzwi zaś i okna otoczone są wałem piasku, jak śniegiem w czasie zimy. Piasek lotny, rozrzucony na dużej przestrzeni nad rzeką, w czasie wiatru tworzy ładnie układające się fale, po deszczu zaś po-

wstaje na nim tak twarda powłoka, że można po niej nie tylko dobrze chodzić, ale jechać na rowerze, jak po drodze bitej. Na wydmach, rozdmuchanych przez wiatr, znajdują się często urny z resztkami popiołów, szczątki różnych naczyń glinianych z ozdobami żłobionymi w różne desenie, oraz strzałki i okrzeski krzemienne, szczątki ognisk, kości i paciorków szklanych. Dotychczas okazy takie znaleziono na wydmach pod Myszyńcem, pod Ostrołęką nad brzegami Narwi, pod Nowogrodem na wzgórzu zwanem „Górki“ nad Narwią (brzeg lewy), oraz naprzeciw na drugim brzegu rzeki; podobne ślady i przedmioty są również na wydmach między Narwią a ujściem do niej Pissy pod wsią Ptakami. Nie wszędzie jednak brzegi Narwi są jednostajne — piaszczyste, w wielu miejscowościach, w okolicach Ostrołęki, oraz Jednaczewa pod Łomżą, ciągną się śliczne łąki, pełne dzikiego ptactwa, a przede wszystkim kaczek. Niekiedy brzegi rzeki są wysokie kilka łokci i urwiste, tworząc nad wodą ściany, w których dziesiątki grzebiółek utworzyły sobie gniazda w wydłubanych przez siebie umyślnie norach.

Wzgórza nadnarwiańskie pod Nowogrodem wznoszą się kilkadziesiąt m. nad poziomem doliny nadrzecznej i składają się przeważnie z naniesionej gliny lodowcowej, pomieszananej z mar-





MŁYN NA PISSIE WE WSI DOBRYLAS, POW. KOLNEŃSKI.

fol. Ad. Chętnik.

głem i wapieniem. Na zboczach tych wzgórz znajduje się mnóstwo belemnitów, a także skamieniałych muszli, koralu i polipów lub szczątki innych zwierząt. Wzgórza pod Nowogrodem znajdują się na lewym brzegu Narwi, bliżej zaś Łomży przechodzą na prawy brzeg, na którym też znajdują się fortyfikacje. Podobne wzgórza ciągną się pod wsią Dobrylasem i nazywają się „górami Dobroleskimi“; z gór tych przedstawia się rozległy widok na Łomżę o 3 mile oddaloną.

Sama Narew nie jest bardzo przydatna do żeglugi; przed dwudziestu laty krążyły wprawdzie w dolnym jej biegu niewielkie statki parowe, dochodzące do Tykocina i dalej, obecnie jednak koryto całe jest tak zanieczyszczone i zamulone, że w czasie letniej posuchy tworzą się brody w wielu miejscach, a w niektórych miejscach nie tylko łódką nie można przejechać, ale i tratwy niekiedy się zatrzymują. Flisacy wtedy albo robią na prędkę sklecone służyz z desek i bali, albo pogłębiają dno umyślnie do tego sporządzonymi pługami z drzewa. Dno Narwi na całej przestrzeni zawalone jest zwałonymi dębami, świadczącymi o innej niż dziś przeszłości brzegów nadnarwiańskich. Dęby te, niekiedy zupełnie zdrowe i czarne jak heban, są

nieraz tak grube, że niekiedy nie dadzą się przerznąć piłą drwalską, która jest krótsza od średnicy dębu; dęby te wydostają z wody mieszkańcy nadbrzeżni i rybacy, którzy posiadają do tej pracy odpowiednie przyrządy, a mianowicie: dużą o płaskim dnie łódkę, mocne bosaki i drągi, oraz mocną żelazną kotwicę z łańcuchem, który okręcony jest na pionowy wał, obracany drągami i windujący w ten sposób kłoc z wody. Przyrząd taki nazywa się „olubką“.

Dębina, wydobywana z rzeki, używana jest przeważnie na opał, chociaż odpowiednia byłaby na różne wyroby, np. stolarskie. W roku 1911 z powodu suszy i obniżenia się poziomu Narwi wyłoniły się z niej w wielu miejscach pale drewniane, jakby od starych mostów, których poprzednio nikt nie zauważył. Znajdują się też w Narwi rogi jelenie i kule armatnie. Około roku 1900 pewien flisak znalazł w wodzie starą, dobrze zachowaną i starannie zrobioną armatkę bez lawety; armatka miała około metra długości i posiadała piękne ozdoby i herby. Flisak sprzedał armatkę pewnemu rybakowi z Nowogrodu za pół rubla, policja jednak miejscowa armatkę skonfiskowała i odesłała do Łomży, skąd odesłano ją do Petersburga.

Nad Narwią było dawniej wiele t. zw. „wałdołów“ — dołów z wodą niewysychającą, zarybionych linami i karasiami; od lat jednak 15 doły zaczęły wysychać, a dziś niema ich wcale, albo też zamieniły się w błoto. Sama Narew płynie dość spokojnie, ale zmienia również koryto w wielu miejscach (pod Jankowem i Parzychami) oraz pod Nowogrodem, gdzie wpada Pissa. Pissa, wypływająca z jeziora Śniardwy na Mazurach Pruskich i omywająca Zieloną puszcę od wschodniej strony, płynie wartko, posiada dużo wirów, tworzy głębokie doły i mie-



lizny. Przed 20 laty Pissa wpadała do Narwi zupełnie ukośnie, płynąc z nią u samego ujścia prawie równolegle, ale potem zaczęła nawracać do Narwi bardziej prostopadle, rwąc z całą siłą lewy swój brzeg u ujścia zwany „kępą na Wojskiem“. Dziesięć lat temu dawne łóżyisko Pissy u ujścia stało się lądem, sama zaś rzeka, wpadając z impetem do Narwi prawie prostopadle, odpycha przeciwległy jej brzeg bliżej ku Nowogrodowi, gdzie nadbrzeżni mieszkańcy, obawiając się o całość swych siedzib, zaczęli już robić tamę z kamieni u łądu, co jednak nie na wiele się przydaje. Z pewnej odległości widzimy, że przy ujściu Pissy, z lewej jej strony wchodzi do Narwi wązki klin ziemi; klin ten dawno by Pissa pochłonięła i pchnęła Narew zupełnie na Nowogród, ale na tym skrawku ziemi między Narwią a Pissą jest w ziemi ruda żelazna, której Pissa, pomimo ciągłego lizania, nie może pochłoniąć. (p. s. 54). Brzegi Pissy są niskie ale bardzo malownicze; kwieciste łąki, lasy i gaje brzo-zowe, olszowe, oraz dębina i różne zarośla znajdują się po obu brzegach, a i wioski nad Pissą są również liczne; często z jednej wioski można dojrzeć drugą (Morgowniki, Ptaki, Baliki). Na Pissie jest dużo młynów na palach i promach t. zw.

„plywaków“. We wsi Dobrymlesie jest na Pissie most drewniany, zbudowany przez gospodarza Gietka, którzy wydał na to własne pieniądze, zarobione w Ameryce. Przy każdym prawie młynie wodnym jest tama z otworem i przyrządami z siecią, które nazywają się „węgorzami“. W Pissie bowiem jest dużo węgorzy, których rybacy łowią za setki rubli rocznie; węgorze zakupują hurtownie Żydzi, ale nie dla siebie, gdyż przepisy ich rytualne nie pozwalają im jeść węgorzy, dostarczają je więc wszystkie do Warszawy. Przed kilku laty do Pissy

zabłąkał się na wiosnę w czasie wylewów je-siotr, został jednak wykryty przez rybaków, którzy go zapędzili na mieliznę i zakłuli bosakami; ważył 6 pudów.

Znaczne obszary nad Narwią i jej dopływami zajmują torfowiska; torf znajduje się również w nizinach międzyleśnych, w okolicach Kolna, Dębniak, nad rzeką Rozogą i innych miejscach puszczy. Olbrzymie, nietknięte dotych-

czas pokłady torfu znajdują się nad jeziorem Serafin i Karaska, gdzie i lasu nie brakuje. W okolicach bezleśnych, torf wydobywany jest corocznie i jest częstokroć jedynym materiałem palnym dla okolicznych wiosek; w pobliżu miast torf sprzedawany jest na opał, i w tym celu zduni budują spocyalnie piece o dużym palenisku. Torf kopią ludzie na przednówku, kiedy ukończyły się roboty wiosenne w polu, a do żniwa jeszcze dosyć daleko. Wyruszają wtedy całe wioski na łąki z łopatami, taczkami i żywnością. Zwyczajnie kilka spokrewnionych rodzin pomaga sobie w pracy po kolei. Najpierw zgarniają ziemię, o ile torf nie jest na wierzchu, poczem kopią torf specjalnymi łopatami, krającami foremne cegielki. Cegielki te odwożą taczkami dalej, gdzie inni układają je w ten sposób, ażeby je wiatr mógł prze-



fol. Ad Chętnik.

ROCI JELENIE WYKOPANE W TORFIE, W POW OSTROLECKIM.

wiewać, t. j. zostawiają między cegielkami duże otwory; często zamiast użycia tacek torf odbierają robotnicy od kopiącego i podają go „przez ręce“ aż do tego miejsca, gdzie układają kupki. Robota wtedy idzie szybko, ale zabiera wielu ludzi. Gdy torf przeschnie, układają go pod szopami bez ścian, a do domu zwożą zimą, gdy błota zamarzną. W doły pozostałe po torfie, napływa woda, a z czasem znajdują się tam i ryby. Między torfowiskami gospodarze uprawiają grunt w zagony i hodują ogrodowizny, z których brukiew, kapusta





KOPANIE TORFU NA ŁAKACH MATWICKICH POW. ŁOMŻYŃSKI.

fol. Ad. Chętnik.

i marchew doskonale się udają. Przy kopaniu torfu robotnicy znajdują wiele przedmiotów — rogi jeleni i łosi, kości i szkielety zwierząt, pale, narzędzia rozmaite, a nawet monety. Pewnego razu jeden z kopaczy znalazł na dnie pod torfem kamień, obrobiony jakby do żaren, i oselkę z dziurą od sznurka do zawieszania na szyi. Widać więc, że w miejscach tych były dawniej ludzkie osady nawodne, oraz, że

nad Narwią była zwierzyna, której szczątki pozostały w torfie. Przedmioty odnajdywane w torfach dawniej ginęły bezpowrotnie, rogi zaś kruszono łopatami i wrzucano do wody; obecnie udało się wytłumaczyć ludziom, że przedmioty znajdowane w torfie mają wartość nie pieniężną ale naukową, że są zbierane i zachowywane; wiele z nich znajduje miejsce w zbiorach i muzeach krajoznawczych.

C. D. N.



Al. Janowski.

# LISTY Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

## VII. Nanticoke Pa.

W Nowym Yorku, zwłaszcza w dzielnicy East Side Żydzi są tak dominującym elementem, że napisy miejskie w miejscach publicznych

przeważnie są w dwóch językach: po angielsku i w żargonie. Jest jednak w Pensylwanii małe miaste-





fol. Ad Chętnik.

UJŚCIE PISSY DO NARWI W 1911 R.

czko, gdzie wszystkie napisy są po angielsku i po polsku; tem miasteczkiem jest Nanticoke nad Susquehanną.

Oba brzegi tej rzeki stanowią niesłychanie bogate zagłębienie węglowe, zamknięte po lewym brzegu łańcuchem Penobscot Mountins (1,500 st.), a po prawym Shickshinny Mountis (1,440 st.). Rzeka ma charakter górski, dno kamieniste, poprzeryzane szeregami skał i uskokami; do żeglugi Susquehanna nie nadaje się, ale ciągnie się wzdłuż niej kanał aż do zatoki Chesapeake, którą dawniej splawiano węgiel do oceanu.

Dziś kanał ten, z wielkim mazołem zbudowany, jest zarośnięty, zamulony i stanowi ulubioną siedzibę ptactwa błotnego, transporty węglowe zaś idą kolejami po obu brzegach rzeki: po prawym linią—Leigh Valley, a po lewym:—Pennsylvania.

Zagłębienie Susquehanny jest macierzą przemysłu węglowego stanu, tu bowiem stanęły najpierwsze kopalnie, a rychło nadciągnęli do nich robotnicy polscy.

Budowano im początkowo osady wśród lasów i skał, w romantycznym otoczeniu, kędy przekradały się ongi niedźwiedzie i łosie, a bacznie śledzili za nimi czerwonoskórzy. Osad

takich dochowało się kilka do dziś, jak np. charakterystyczna osada w Lee, gdzie rezyduje dzielny krakowiak Marcin Sudał z pod Bochni.

Z biegiem czasu jednak ludność zaczęła się koncentrować w miasteczku Nanticoke, które doszło dziś do 20.000 ludności, w czym przeszło 50% Polaków.

Polacy w Nanticoke to przeważnie górnicy. W kopalni tylko polską rozmowę słyhać, przed rozpoczęciem roboty ucina się pogawędkę o nowinkach dnia; siadają sobie na kłodzie drzewa: ten od Śremu, ten z Lipna, ten z okolic Tarnowa czy Dukli, paru Kurpiów, paru Mazurów, Podlasiak, Krakowiacy—cała Polska.

Przyłożywszy się do pracy, zarabiają górnicy wcale dobrze, budują więc sobie lub kupują gotowe domki, stają się obywatelami miasta i stanu. Aby zaspokoić ich potrzeby, wytworzył się wcale potężny stan kupiecki, bogaty i wpływowy, to też gdy przyjdą wybory, Polacy stanowią tak potężną siłę, że przeprowadzają swoich kandydatów.

Obecnie zarząd miasta jest prawie całkowicie polski: majorem jest Polak Madejewski, skarbnikiem Polak Wenta, dyrektorem rady szkolnej polak Karbowski, sędzia polak Łoński,





NAJSTARSZA OSADA POLSKA NAD SUSQUEHANNA W LEE. fot. Al. Janowski.

inne drobniejsze urzędy także przeważnie mają Polacy.

Korci to bardzo Irlandczyków, którzy dotychczas trzymali tu ster, a nasi tych „ajryszów“ nie lubią. Dla niepoznaki nazywają ich zwykle „zielonemi“, lub „kozakami“.

Stopniowo żywioł polski zabiera w swoje ręce życie miasteczka: ma swoich rzeźników, sklepy kolonialne, łokciowe, galanteryjne, spożywcze. Piekarzy jest w mieście pięciu: czterech Polaków i jeden Anglik. Są dwie księgarnie, paru fotografów, ramiarze, zegarmistrze, jubilerzy, kapelusznicy, modniarki, jest 2 lekarzy, 2 adwokatów, biura realnościowe, dentysta, trzy parafie rz.-katolickie i jedna niezależna.

Życie zbiorowe przejawia się w licznych stowarzyszeniach, jak: Sokoły, Skauci, Gwiazda Młodzieży, Chór de Reszke, 2 orkiestry, biblioteka im. Kraszewskiego, kasa pogrzebowa i w. in. Sokoły wybudowały najładniejszą salę w mieście, a wszystkie wiece, koncerty i teatry w mieście, angielskie, słowackie, włoskie odbywają się zawsze w „Polish Falken Hall“.

Sprawy narodowe obchodzą żywo Polaków w Nanticoke. Na jednym wiecu widziałem ich z górą tysiąc osób, a są między nimi typy nadzwyczaj ciekawe zwłaszcza w starszym pokoleniu. Podczas gdy jedna z urodzonych już tutaj pańien mówiła mi: „ojciec wygania mnie do kraju, ale ja bym wolala pojechać do Kalifornii“, to starsza kobieta, już babka wnuków, mówiła mi: „23 lata już tu mieszkam, a coraz więcej

za krajem tęsknię. Teraz więcej niż dawniej“. O dzieciach tu urodzonych mówiła mi inna starszuszka: „Tutejszy to jak dziki ptak, choć go się oswoi, to jednak on jest obcy“. Poznałem jednak i tutaj gorącą patryotkę, urodzoną w Ameryce a mówiącą czysto po polsku; była w kraju dwa razy, zwiedziła i Poznań i Warszawę i Kraków i Wieliczkę, a tu w Nanticoke uczyła dzieci historii polskiej, a miewała po 125 uczniów.

Sporo też wraca do kraju, najwięcej Galicyan, mniej Królewaków, najmniej Poznaniaków. Galicyanie ślą dużo pieniędzy do kraju; mówiono mi w banku, że można liczyć, iż na 100.000 dol. wysyłanych do Galicyi, zaledwie ze 100 idzie do Poznańskiego.

Gdym opuszczał Nanticoke, stary górnik z pod Sanoka ze łzą w oku mówił do mnie: „jak pan wróci do kraju, niech się pokłoni i wszystkim braciom i całej ziemi, choć ja tam już 28 років nie był“.

Uściskaliśmy się serdecznie i śpieszę, nim jeszcze wrócę do kraju, choć listowne przesłać pozdrowienie wszystkim braciom i całej ziemi od starego górnika i bezdomnego wędrowca.



fot. Al. Janowska. DOWY POLSKIE W ALDEN POD NANTICOKE.





# Z NASZEJ TURYSTYKI.

F. Goetel.

## Droga na Świnnicę i ochrona Tatr.

Głośnie echem rozeszła się w Polsce sprawa budowy kolejki na Świnnicę. Referaty i koreferaty, oświadczenia i manifestacje zbiorowe i indywidualne, wiece dyskusyjne i zebrania protestujące, broszury i artykuły w prasie — wszystko to świadczyło o żywym zainteresowaniu, jakie sprawa obudziła. Rzecz sama odpowiadała zresztą zupełnie swoją wagą burzy, jaką wywołała. Chodziło przecież o najpiękniejszy, a niestety tak maly kątek ziemi polskiej, który zdobył już sobie pierwszorzędne miejsce w życiu zbiorowem Polski, który wydał najpiękniejszą rasę polskiego ludu, stworzył oryginalną literaturę i sztukę, uzdrowił wreszcie setki chorych, a tysiącom przepracowanych dał wypoczynek i wytchnienie.

Projekt kolejki na Świnnicę upadł, i mimo upartej walki, prowadzonej jeszcze ciągle przez projektodawcę i jego adherentów, należy uważać go za przesądzony. Ale sprawa kolejki była tylko epizodem, była poniekąd pierwszym wystrzałem w walce, jaka i nadal rozgrywać się będzie między armią przeróżnych spekulantów, żadnych zdobycia i wyeksploatowania skalnego szanica, a armią jego obrońców, zgrupowanych pod sztandarem: „Ochrony Tatr“. Rozstrzygnięciem oczywiście opinia społeczeństwa, dziś jeszcze zdezorientowana, niepewna, a co najgorsze — obojętna.

Czem jest właściwie „Ochrona Tatr?“ Odpowiem pokrótce. Jest to prąd wrogi wszelkim innowacjom „cywilizacyjnym“ w głębi Tatr samych, które winny być utrzymane w dzisiejszej ich postaci. Podkreślam „głębi Tatr samych“ a nie Zakopanego i jego blizkiej okolicy.

Jeśli bym na tem miejscu zapytał, z jakim zamiarem i w jakim celu zjeżdża rokrocznie do Zakopanego tysiące letników, otrzymałbym bezsprzecznie mnóstwo odpowiedzi. „Po zdrowie!“ odpowiedzieliby chorzy; „po spokój i ciszę“ — odpowiedzieliby przepracowani; „dla towarzystwa“ — rzekłoby wielu, „dla poznania Tatr“, — odpowiedzą nieliczni. Wszyscy jednak zgodzą się pod jednym względem: „Przybywamy po odpoczynek“. Pytajmy dalej: „Dobrze! — ale jak wypoczywacie?“ — „Spoczywam cały dzień na leżaku — odpowie chory; „przybywa mi tygodniowo po dwa kilogramy na wadze“ — odpowie człowiek chudy; „bawię się!“ — rzuci krótko „lew pensjonatu“; „jeżdżę codziennie samochodem do Morskiego Oka“ — odpowie automobilista; „chodzę po górach!“ — odpowie turysta i taternik.

Pytajmy jeszcze: „Potrzebne są też państwu te góry?“ — „O tak!“ odpowie chory, „nieporównanie piękny jest widok na nie z okien mojej werandy!“ „Bezsprzecznie!“ stwierdzi tyjący, „gdzie są góry, tam jest i ostre powietrze, gdzie jest ostre powietrze, jest i apetyt!“ „Zapewne!“ oświadczy zdobywca serc, „nie uwierzy pan, jak rozmarzająco wpływa na kobietę krajobraz tatrzański!“ „Także pyta-

nie!“ — oburzy się taternik czy turysta, — „przecież chodzę po nich i żyję w nich!“

Jakież wnioski należy teraz wyciągnąć z tych zapytań i odpowiedzi, które nie są bynajmniej tylko ironią? Otóż widzimy, że aczkolwiek dla wszystkich przebywających w Zakopanem Tatry są potrzebne, to konieczne są tylko dla tego, który je obral za teren swojej bezinteresownej i bezpośredniej działalności, — dla turysty i taternika (pojęcia turysta i taternik rozdzielałam dla tego, że przyjęto w literaturze nazywać turystą każdego chodzącego po górach, taternikiem zaś tylko robiącego trudne, skalne wycieczki). On jest tym jednym, który przybywa do Zakopanego dla Tatr samych. Jemu przeto należy się pierwszy głos w tej sprawie, — on bowiem zdobył sobie trudem i pracą, związaną z ich poznawaniem, prawo moralnej ich własności.

Ale, podobnie jak opinia ogółu, tak i opinie turystów i taterników, są co do Tatr bardzo rozmaite. Obcując przez czas długi z taternikami i turystami, miałem sposobność spotkać się ze zdaniemmi biegunowo nieraz sobie przeciwnymi. Znałem ludzi z dzisiejszego stanu rzeczy w Tatrach najzupełniej zadowolonych (tych niewielu), — niezupełnie zadowolonych (tych było bardzo wielu), — i zupełnie niezadowolonych (tych była garstka). Czem się to dzieje? Może w myśl przysłowia: „co głowa to rozum“, a może, co mi się bardziej do prawdy blizżonem wydaje, z powodu tego, że zbyt wielu zadowala się samą przyjemnością zwiedzania Tatr, nie zadając sobie trudu zastanowienia się, w czem leży istota tej przyjemności i w jakich warunkach mogłaby ona być mniejsza lub większa. Zaskoczeni wypadkiem lub zapytaniem zdecydowaniem, wydają opinie powierzchowne, zastępując moc przekonania uporem.

Ten brak zastanowienia i powierzchowność cechuje wszystkie argumenty, z jakimi spotkałem się w sprawie zagadnienia ochrony Tatr. Ale cechuje je także i to, że znajdują chętnie posłuch pośród społeczeństwa, może dlatego, że uderzają prawie wszystkie w strunę społeczną. Roztrząsać je tu wszystkie i rozstrzygać niepodobna, jest ich zbyt wiele! Sądję przeto, że najlepiej będzie, gdy pominąwszy rzeczy uboczne (którym zresztą zostawiam miejsce w ramach dyskusji, jaką tym artykułem wywołać pragnę), chwycę odrazu za serce sprawy i postawię pod roztrząsanie argument najbardziej zasadniczy, jakim jest: „Tatry należy udostępnić dla wszystkich!“ — nie tylko dla tych, którzy mają fizyczną możność ich zwiedzania, ale, także i dla tych, którzy jej nie mają!“ Pochodną tego argumentu jest żądanie: „Tatry należy pokryć siecią wygodnych ścieżek, zaopatrzyć w parę kolejek na najlepsze punkty widokowe, oraz wystawić kilka „europejskich hoteli“.

Tatry dla wszystkich! Czyż trudno wyczuć pa-



radoksalność tego żądania? Czyż nie wystarczy stanąć u ich podnóża i spojrzeć na surową dzikość spiętrzonych pod niebo turni, aby zrozumieć, że nie są one dla wszystkich!? Czyż nie powiedziała nieomylna nigdy natura, dając w ich głębi schronienie istotom silnym i odpornym: smrekom górskim i limbom, kozicom i orłom, — dla kogo są Tatry? Czyż nie powiedział człowiek pierwotny, wydawszy u ich podnóża najzdrowszą i najbardziej niezawisłą rasę polskiego ludu — dla kogo są Tatry? Czyż nie powiedzieli tego wreszcie i ci najwięksi z pośród ludzi cywilizowanych, którzy ku nim przybyli: Chalubiński, Nowicki, Karłowicz i w. in., przebiegając je wzdłuż i wszerz, niepomiń trudów i niebezpieczeństw?

Tatry dla silnych i śmiałych! Wszak powiadają, że świat cały do nich należy, dlategoż więc najdzikszy jego zakątek należeć ma do niedolęgow?!

Przytem niedolęstwo to, czyż nie jest w dziewiętdziesięciu na sto wypadkach głównie natury duchowej. Zdało mi się nieraz, że niedostępność i dzikość Tatr jest stokrotnie mniejsza od niedolężnego lenistwa i braku rzeczywistych chęci poznania w tych, którzy pragną je udostępnić.

Krajem, z którego czerpie się zazwyczaj miazdzący argument w tej dyskusji, jest Szwajcarya. Czyni się to zawsze, ilekroć miota się słowa oburzenia na porządki w Tatrach. Jakże chętnie wspomina drapiący się stromą ścieżką tatrzańską turysta wyborną drogą w Szwajcaryi, którą wyjechał na wysokość nierównie większą. Z jakimż zachwytem opowiada się nieraz o czteropiętrowym hotelu z tarasami, windą, łazienkami etc. — zawieszonym cudownym kunsztem inżynierskim nad lodowcem — siedząc na ganeczku drewnianego schroniska lub — o zgrozo — w opustoszałym szalasie! I jakież słowa obelgi miota na polskie gospodarstwo zbłąkany wędrowiec w puszczy tatrzańskiej, wspominając tkwiącą nieomal na każdym drzewie tablicę czy drogowskaz — w Szwajcaryi. Nikt wtedy nie myśli, że Alpy nie mogą być w żadnym wypadku sprawdzianem dla Tatr, różnice bowiem między jednymi a drugimi nadto są wielkie.

Już rzut oka na mapę wystarczy, aby stwierdzić, że w porównaniu do Alp są Tatry wysepką skalną, tak małą, że nawet poszczególną grupą w olbrzymim kompleksie byćby nie mogły. Dalej, wysokość szczytów alpejskich przewyższa prawie dwukrotnie wysokość Tatr! W głębi Alp tkwi całe państwo niezawisłe, a cztery inne opierają się na nich, podczas gdy Tatry są murem granicznym między dwiema prowincjami. Alpy rdzenne wreszcie są pustynią śnieżno-lodową — Tatry skalnymi iglicami, strzelającymi z zieloności hal i lasów! To więc, co jest w Alpach proporcjonalne i na miejscu, u nas byłoby pokraczne i śmieszne! Nie razi czteropiętrowy hotel, zawieszony nad potwornem cielskiem lodowca, wobec którego jest dziecinną zabawką — ale któż powie, że nie raziłby postawiony nad Morskim Okiem? Zniknie na gigantycznej Jungfrau zębata kolejka, podczas, gdy wyprowadzona na którykolwiek szczyt tatrzański zabije piękno netylko

szczytu, ale i całej okolicy! Pięknie rysują się zakosy drogi rzymskich legionów, pnące się na przełęcz między dwoma skalnymi kolosami, nad którymi piętrzą się jeszcze inne — śnieżne; ta sama jednak droga, poprowadzona na którąś z tatrzańskich przełęcz, wyglądałaby jak droga wandalów! A dalej: jakiegokolwiek postępy zrobi jeszcze w Alpach człowiek cywilizujący, zawsze pozostaną jeszcze olbrzymie przestrzenie, do których broni wstępu mroźna i groźna natura — u nas każda nowa „cywilizacja“ i inowacja zabija pierwotność stromych zakątków, których w Tatrach całych jest tak niewiele, w naszych polskich — kilka zaledwie! I wreszcie: w Alpach złożyło się wszystko na to, aby z nich powstał wielki międzynarodowy jarmark turystyczny — u nas w Tatrach wszystko dotąd zmierzało w kierunku rodzimości. A ta miała i ma swoje korzenie — w Tatrach niedostępności. Wszystko, co było twórcze na polu tatrzańskim, z niej wyrosło. Z niej czerpał moc zachwyty pierwszy „olbrzym“ Tatr dr. Tytus Chalubiński, w niej tkwiła dusza gęśli Sabalowej, z niej wyrosło podhalańskie zdobnictwo i budownictwo, nią natchniony kręsał ze skal Tetmajer swoje bohaterskie postacie, z niej urodziła się twórczość Karłowicza i tylu innych!

Biadamy, gdy nasz polski lud zarzuca barwne i piękne ubiory, jakie mu przekazała tradycja, a już zgrozaby nas wzięła, gdybyśmy ujrzeni górala w „europejskim“ kostymie. Ale czy pomyśleliśmy nad tem, że zeuropeizowane na modłę szwajcarską Tatry wyglądałyby tak samo?

Ale jest, zdaniem mojem, argument dużo jeszcze ważniejszy od powyższego. Jest to kwestya stosunku współczesnego człowieka do swojej pramatki — natury, a raczej braku tego stosunku! Iluż z nas przepędzi cały Boży rok na miejskim bruku, nie widząc nawet żytniego ładu lub zieleni drzew niepostrzyżonych ręką ogrodnika? I z jakąż radością uciekamy z końcem roku z miasta, aby odechnąć całą piersią i spojrzeć w niezmienne oblicze natury, której brak w naszym codziennem życiu jest powodem naszego fizycznego i moralnego chleractwa!

Nie bierzmyż tam ze sobą tego, co nam dolega, przed czem uciekamy — tej miejskiej cywilizacji wraz ze swojemi kolejkami, hotelami i kawiarniami!

Za granicą, — mądra i jasnowidząca myśl społeczna potworzyła ogromne rezerwy tej pranatury — nazywając je „parkami narodowymi“. Park nie oznacza tutaj, jak myślał p. Miciński w swoim artykule „O wypadkach w Tatrach“, i jak to myśli wielu, uregulowanego, ozdobionego floresami ścieżek i romantycznym drzew ugrupowaniem ogrodu. „Parki narodowe“ — to rejony przed cywilizacją zamknięte, gdzie rządzi się, buduje i niszczy sama natura. Gdzie człowiek może przyjść i zaczerpnąć sił z uzdrawiającej krynicy prawdy i prostoty.

Tatry nasze, czyż nie powinny być takim polskim parkiem narodowym?

oooooooooooo



# Listy do Redakcyi.

W artykule „Pomniki kościelne i cmentarne”, („Ziemia” № 52 r. u.) projektuje p. Thugutt spisywanie napisów, fotografowanie pomników i t. d. Rzecz bardzo ładna. Spisywanie wierne — jest często niemożliwe: wzrok zmęczony co innego widzi, myśl, ta wieczna fiksotka — co innego nasuwa, każe kreślić. Pan Stanisław Cercha co innego proponuje. Bibulka biała, arkusz za 2 grosze — a im droższa tem wygodniejsza — wiszorek i tusz w tutce, oto rzeczy niezbędne. Bibulkę przykładą się do napisu, i wiszorkiem potartym o tusz smaruje się bibulkę równo, a wówczas wychodzą litery, liczby, przecinki, kropki, nawet szczyrby. Wykonywałem też napis w inny sposób — bibulkę zwilżoną przykładalem do napisu i miękką szczotką wtlaczałem w litery — litery wychodziły, określałem ołówkiem i znów bez pomyłek. Zdaje się, że to praktyczne i pewne!

R. Oczykowski.

oooooooooooo

## Nowe książki.

*Pamiętnik fizyograficzny tom XXI, wydany z zapo-  
mogi kasy im. Mianowskiego. Rok 1913.*

Największym działem w omawianym tomie jest meteorologia. W tym dziale znajdujemy spostrzeżenia nad temperaturą lat z 1909 i 1910, poczynione na czterdziestu paru stacyach. Cały materiał szczegółowych spostrzeżeń wydrukowano z Silniczki i Grodziska (pod Warszawą), z pozostałych zaś (stacje II i III rzędu) tylko wyniki najważniejsze. Stacja Warszawa otrzymała opracowanie swych danych od r. 1779 do 1910, przyczem od roku 1886 działalność stacji przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa została szczegółowo uwzględniona. Sama możliwość zestawienia temperatury w jednym miejscu dla okresu przeszło 140-letniego nawet na zachodzie Europy nie często się trafia, to też rzeczą pożyteczną jest takie opublikowanie dla Warszawy. Autor tej rozprawy p. W. Gorczyński w ten sposób jak gdyby wskrzeszał doskonały przykład z przed 32 lat, dany przez A. Pietkiewicza, to też każdy, komu fizyografia kraju leży na sercu, będzie w następnych rocznikach szukał takiego samego zestawienia opadów atmosferycznych, a później i wiatrów.

Co zasługuje na największe uznanie, to zestawienie danych, dotyczących ciepłoty na ziemiach dawnej Polski i w krajach przyległych z 25 lat, a mianowicie z lat 1866—1910. W tej pracy dla 221 stacji w państwie rosyjskiem, 74 w państwie pruskiem i 117 w austriackiem mamy zestawione dane temperatury poszczególnych miesięcy, roku, maximum i minimum. Znaczna ilość tych stacji była czynna tylko przez część omawianego okresu.

Ten sam autor również zestawil dane, dotyczą-  
ce usłonecznienia w Warszawie, Silniczce i Olsza-

nie (na Ukrainie) z okresu dziesięcioletniego 1900—1910.

W końcu autor uzupełnił dział meteorologiczny „instrukcją dla stacji meteorologicznych sieci warszawskiej”, a że te 28 wielkich stroniec zawierają rysunki i schematy, przeto jest to bardzo pożytecznym dodatkiem dla każdego, kto chce się obznajmić ze współczesną techniką spostrzeżeń meteorologicznych.

Dział geologii i geografii zapelnil p. St. Lenciewicz dwiema krótkimi rozprawami; są to: „Dzieje górnej Lubrzanki” i „Przyczynki do znajomości dyluwium i hydrografii okolic Tomaszowa Rawskiego”. Dołączone mapki i widoki krajobrazu ilustrują treść. Zwracam uwagę na pierwszą tych prac, gdyż jest to jedna z nielicznych prób z zakresu geomorfologii w Królestwie, wówczas gdy o miedzę od lat 12 taki E. Romer lub od kilku lat L. Sawicki, W. Kuźniar, St. Pawłowski lub J. Smoleński na polu badań zaszli tak daleko, jak tego wymaga współczesny stan geomorfologii w Ameryce i na zachodzie Europy; — to też z prawdziwą przyjemnością zaznaczam, że na tem zaniedbanem polu przybysza nowy pracownik.

Dział zoologii zapelnily badania w ordynacyi Zamoyskiej, a mianowicie p. S. Tenenbaum drukuje potężny (72 str.) „spis chrząszczów”, dochodząc do 1693 gatunków (wówczas gdy na całym naszym obszarze liczą pięć tysięcy), oraz ten sam badacz drukuje „spis gadów, płazów i ssaków”; dr. Wł. Poliński opisuje „Ślimaki i małże”, a p. J. Domańewski „Ptaki”. Tych ostatnich autor narachował 226 gatunków, co byłoby dużo wobec 323 możliwych do spotkania na ziemiach dawnej Polski, tylko że sposób wciągania do spisu niezawsze wydaje mi się dość uzasadniony, jak np. napis „prawdopodobnie zalatuje” (№ 217), „musi zalatywać” (224) albo „zdaje się, że się nie znajduje” (110), oraz spora gromadka gatunków podana za Taczanowskim. Te gatunki należałoby wylączyć w oddzielny spis.

Zdaje się, że to po raz pierwszy jeden zakątek naszego kraju doczekał się takiego opracowania!

Dział botaniki godnie przedstawia dr. J. Trzebiński „Flora Śmity i okolic sąsiednich” i tu czytelnik nie bez zdziwienia dowiadyuje się o sośnie i nawet o świerku na tak głębokiej Ukrainie; — rozumie się, że te drzewa występują tam na piaskach a nie na lessie. Również ciekawa jest wiadomość o *Trybulus terrestris* (najbliższy krewniak naszego parolistu wschodniego, ginącego pod Sandomierzem), a nawet o obu gatunkach osetnicy, jako występujących już tylko w zaroślach leśnych. Cały materiał florystyczny jest opracowany skupieniami w zależności od warunków gleby, a w zakończeniu tego wstępu autor zwraca uwagę na rośliny poniekąd zbyt północne dla tamtych okolic, jak rosziczkę gruszycką, dziewięciornik i inne, których obecność autor wyjaśnia krańcowym w tych miejscowościach zasięgiem wielkiego łodowca. Spis roślin kwiatowych wynosi 747 gatunków.

Dział archeologii i etnografii zapelnia pięć prac nierównej wielkości. P. M. Wawrzenicki umieszcza tu rozprawę „Ślady kultury przedhistorycznej w okolicy Włocławka”, opartą przeważnie na zawartości muzeum krajoznawczego we Włocławku, która jest



doskonale odtworzona na licznych tablicach (papier kredowy podnosi wartość wykonania). Pominąwszy rzeczy tak ciekawe, jak wzmianka o romańskich fundamentach muru w samym mieście lub o górze zamkowej w Dobrzyniu na Wisłą, cała ta praca posiada cechy autorowi właściwe, które w tylu innych pracach zawsze wybitnie występują, a mianowicie przy pewnej prawie przesadnej ostrożności w opracowaniu szczegółów autor przeprowadza myśl ogólniejszą, jak w danym wypadku, że rozwój znaczniejszej miejscowości — Włocławka — w czasach dziejowych jest tylko zakończeniem i jakoby skryształizowaniem odwiecznego rozwoju osiedleńczego i kulturalnego całej okolicy.

P. L. Krzywicki ogłosił niewielką pracę „Grodzisko Derbuckie na Żmudzi“, w której przedstawił rzecz nie tylko ze strony archeologicznej i topograficznej, lecz sięgnął do wyjaśnienia epoki, w jakiej opisane grodzisko powstało, oraz stara się określić poziom kultury rzeczowej — jak na koniec średniowiecza (15 a może i 14 stulecie), zdaniem autora, dość prostaczej.

P. W. Szukiewicz opisał „Cmentarzysko ciałopalne płaskie pod wsią Naczą, w pow. lidzkim, które autor odnosi do czasów 500—100 po Chr., zaznaczając, że na razie jest to typ cmentarzyska „dotychczas odrębny“.

Do etnografii w ściślejszym znaczeniu należą szczegóły, opisane przez p. M. Wawrzeńckiego p. t. „Pieczywo obrzędowe i pospolite“, oraz przez p. Z. Miklaszewską „Kimbałka“ na Podlasiu.

Tom XXI Pam. Fiz. znowu przyniósł szczegóły, które są cegiełkami do budowy przyszłego gmachu, ale jest w tem i coś więcej, gdyż większość tych prac nie jest pozbawiona pewnej ogólniejszej myśli przewodniej — stanowią one krok naprzód w kierunku syntezy, posiadają więc pewną niezaprzeczalną wartość naukową. A jak taką więzankę prac należy cenić pojmujemy, gdy się rozumie i odczuwa nad wyraz ciężkie stosunki, w których polscy uczeni muszą pracować w Królestwie!

Redaktorem omawianego tomu jest p. K. Stolyho, wydawcą p. K. Kulwieć.

W słowie wstępnem dawniejszy redaktor, jeden z założycieli Pamiętnika, Bronisław Znatowicz, któremu słusznie obecny tom został poświęcony, oddaje losy wydawnictwa w nowe ręce, a jednocześnie w niezmiernie skromnych i prostych słowach opisuje losy „Pamiętnika Fizyograficznego“. Są to zarazem dzieje przyrodoznawstwa polskiego w Warszawie w ciągu przeszło ćwierćwiecza — możnaby

je bez wielkiej przesady nazwać dziejami męczeńskimi. Proste słowa czcigodnego jubilata wywierają na czytelnika wrażenie ciężkie, ale... jeszcze niezupełnie ściśle. Niech mi wolno będzie dorzucić parę uwag, gdyż redaktor 20 tomów Pamiętnika jeszcze wszystkiego nie dopowiedział, jak okropne to były czasy. Ileż to razy Br. Znatowicz namawiał przyrodnika do opracowania jakiegoś ciekawego w zakresie fizyografii szczegółu, a namawiany, chociaż posiadał przygotowanie i chęć do pracy, nie mógł się tego podjąć, bo bieda i brak czasu nie pozwalały. Ówczesni przyrodnicy byli paryasami, o ile nie dostali się pod skrzydła przemysłu, co prawie zawsze oznaczało przymusowe zerwanie z nauką. Były to czasy, kiedy młodzieniec wstępujący na wydział przyrodniczy musiał w domu ciężkie staczać walki, bo rodzina patrzyła na takiego osobliwego idealistę omal że nie jak na szkodliwego narwańca.

W ostatnim dziesięcioleciu stanowczo jest nieco lepiej, i prawdopodobnie Br. Znatowiczowi nie musi być rzeczą obojętną, że, rozpoczynając pracę przed przeszło 30 laty, miał wytrwałość niecodzienną i przetrzymał czasy najgorsze. W tych wysiłkach Br. Znatowicza, jako redaktora Pamiętnika i „Wszechświata“, oraz popularyzatora, jest coś spiżowego — ta sama ilość i jakość wysiłków, pomnożona przez takie serdeczne umiłowanie celu, zapewniłaby mu na każdym polu potężne powodzenie i rozgłos. Ten szlachetny upór, z którym nie porzucał popularyzacji i fizyografii, miał w sobie coś z uporu bohaterów Żeromskiego: Siłaczki, Raduskiego lub d-ra Judyma, tych wyniosłych duchów, promiennych bezgranicznym poczuciem obowiązku i cichem poświęceniem całego życia na jego ołtarz, promiennych wytrwałością w czynie, tą cnotą, której naszemu gatunkowi w ciągu ostatnich dwóch stuleci brakowało, a której zjawianie się zawsze wzmacnia wiarę w przyszłość.

Tom XXI Pamiętnika Fizyograficznego, poświęcony takiemu szermierzowi o wytrwałość w czynie, jakim jest Br. Znatowicz, jest malutkim objawem wdzięczności względem niego, a zarazem jest pięknym, otuchę niecącym symbolem.

Antoni Sujkowski.



---

**TREŚĆ:** *Franciszek Chłapowski* — Osobliwości przyrody poznańskiej (z 6 ryc.). *Franciszek Gawełek* — Podhorcie (c. d.). *Stanisław Łenciewicz* — Wyżyna Kielecko-Sandomierska. *Adam Chętnik* — Z Zielonej Puszczy (z 5 ryc.). *Aleksander Janowski* — Listy z podróży naokoło świata (z 2 ryc.). — Listy do Redakcji. Nowe książki. — Wkładka: Tum plocki.

---

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**





Fot. Al. Jancowski.

Jezioro w Chełmicy, pow. lipnowski.



